

## Moje siedem babimojskich lat

### Naprzód, na głęboką wodę!

Po całodniowej podróży, zaczętej wczesnym rankiem pierwszego marca 1963 roku w Oleśnicy Śląskiej, całą dziewiątką podchorążych wysiedliśmy około siedemnastej z pociągu na stacji docelowej, którą był Babimost. Dla mnie była to nieznana mi dotąd bardzo historyczna miejscowość, ze świetlaną postacią starosty Krzysztofa Żegockiego, który walczył skutecznie podczas potopu szwedzkiego z najeźdźcą i który nawet miał duży udział w odblokowaniu szwedzkiego oblężenia Jasnej Góry. Dla ścisłości dodam tutaj, że to oblężenie raczej miało niewiele wspólnego z opisami Henryka Sienkiewicza, którymi zachwyciałem się czytając Trylogię, a dokładnie czytany przeze mnie wielokrotnie drugi tom Potopu. Dla nas jednak, tak jak i dla mnie wtedy to wszystko było faktem bez znaczenia. My przyjechaliśmy tam jako podchorążowie na półroczną praktykę przed uzyskaniem promocji oficerskiej. Zaś dokładnie mówiąc cały nasz batalion już wyszkolonych, w Technicznej Oficerskiej Szkole Wojsk Lotniczych, techników lotniczych poszedł zapchać braki kadrowe w służbie inżynierskiej pułków lotniczych w sytuacji permanentnego zagrożenia wybuchem światowego konfliktu zbrojnego z użyciem broni masowego rażenia. Zimna wojna, w której Berlin był stale punktem zapalnym i miejscem przepychanek, toczyła się w najlepsze. Jakby tego było mało, towarzysz Nikita Chruszczow postanowił zainstalować na Kubie radzieckie rakiety balistyczne, aby zagrożeniem Waszyngtonu stamtąd, wyrównać zagrożenie Moskwy amerykańskimi środkami przenoszenia broni masowego rażenia, już rozmieszczonymi w Europie i w Turcji, która była przecież członkiem NATO. To postawiło wtedy świat na samej krawędzi zagłady totalną wojną z użyciem broni jądrowej, czego byliśmy świadomi.

Z powodu tych polityczno-militarnych awantur żołnierzom naszej służby zasadniczej przedłużono wtedy, wiosną 1963 roku, czas służby prawie o pół roku. Nam wcześniej, już w styczniu 1963, zamknięto program szkolenia i w lutym przeprowadzono egzaminy oficerskie, skracając nasze szkolenie również o pół roku. Między innymi wypuszczono nas jako oficerów bez praw jazdy, które potem każdy na własną rękę dorabiał jak chciał, jak mógł i jak umiał. To był początek tego dziadostwa, jakim było moje w sumie prawie trzydzieści lat służby wojskowej, podzielonej na służbę w kilku garnizonach, w którym to czasie zaliczyłem między innymi półroczny Kurs Doskonalenia Oficerów w Modlinie oraz studia w Akademii Sztabu Generalnego Wojska Polskiego w Rembertowie i na samym końcu jeszcze podyplomowe studia pedagogiczne w Uniwersytecie im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Oczywiście do tego ostrego osądu czasu mojej służby wojskowej doszedłem nie od razu. Dodaję także, że wielu z moich kolegów zupełnie się ze mną nie zgadza, ale to już zupełnie osobna sprawa. Przyjazdem do Babimostu i wejściem jako starsi mechanicy w skład dywizjonu technicznego 45 pułku lotnictwa myśliwskiego III Korpusu Wojsk Obrony Powietrznej Kraju, zaczęliśmy nowy rozdział życia, z początku niezwykle, potem coraz bardziej trudny i ciężki. Na szczęście byliśmy silni, zdrowi i optymistycznie nastawieni do Nowego. Byliśmy już po egzaminach oficerskich i nasze praktyki jako podchorążych na żołdzie, zaoszczędziły budżetowi Ministerstwa Obrony Narodowej wydatku około dwóch milionów złotych na nasze, należne nam pensje oficerskie. Patrząc wstecz myślę, że nie była to żadna oszczędność, a jeżeli już to najwyżej na naszym zdrowiu, bo mając żołd zamiast pensji mogliśmy znacznie mniej wypić gorzały i wina, oszczędzając w ten sposób nasze wątroby.

Był to, jak już wspominałem, dzień 1. marca 1963 roku, tego roku, w którym zima była bardzo sroga. Ludzie marzli wszędzie, na przykład Towarzysz Minister Obrony Narodowej zarządził, że temperatura w izbach żołnierskich nie powinna spadać poniżej 14 stopni Celsjusza. Zarządzenie było w zasadzie przestrzegane, pamiętam, że marzliśmy jak cholera. Pociągi, którymi jechaliśmy do Babimostu były również niedogrzone. Polscy górnicy wydobywali około 200 mln ton węgla rocznie, a grzać nie było czym. Niepojęty urok tamtych czasów - wszystkiego było za mało, szczególnie tego, czego w kraju było wręcz w nadmiarze. Jednak tego dnia było ładne słońce a kiedy wysiadaliśmy na babimojskiej stacji kolejowej, były akurat loty na drugą, popołudniową zmianę i mogliśmy podziwiać srebrne Limy na czystym, błękitnym niebie. Na polach leżała gruba warstwa śniegu, co całą scenerię jeszcze bardziej upiększało. Jak się już na drugi dzień okazało, na lotnisku było tak dużo śniegu, że spoza pryzm, powstałych po jego odgarnięciu z eskadrowych płaszczyzn postoju

samolotów, wystawały tylko górne części kadłubów samolotów z kabinami pilotów i usterzeniem pionowym. Do koszar ze stacji kolejowej było ładnie ponad dwa kilometry, więc próbowaliśmy ściągnąć jakiś samochód, który chociaż zabrałby nasze wyposażenie i plecaki. Były jednak loty i wszystko, co miało koła i potrafiło jeździć, było na lotnisku. Pomaszerowaliśmy więc pieszo, kierunek wyznaczał Boguś M., który był ze sąsiedniego Sulechowa oraz jako starszy naszej grupy i tamtejszy, był najbardziej świadomy tego, gdzie jesteśmy i dokąd mamy iść. Tamte pół roku w Babimoście to bardzo dziwny okres w moim życiu, wręcz nie wiem, czy możliwy do pełnego opisanie. Pełne dziwnych rzeczy było nasze wejście w życie pułku, przede wszystkim jednak przedziwna była ta nowa rzeczywistość i przedziwne były różne, nie tylko nasze pomysły i ich realizacja.

To był czas, kiedy żył jeszcze ciągle w Ludowym Wojsku Polskim duch prawdziwego wojennego komunizmu. Człowiek miał wartość niewielką, jego potrzeby także. Liczyła się tylko gotowość bojowa pułku i temu podporządkowane było wszystko. Ludzie potrzebni byli tylko jako wykonawcy w zasadzie prostych poleceń, a ich myślenie miało sprowadzać się do znajdowania najszybszych i najlepszych sposobów wykonywania rozkazów. Dowódca pułku, pilot ledwie po trzydziestce, był po maturze, zrobionej chyba już w wojsku. W pułku było, nie licząc dwóch lekarzy, tylko dwóch ludzi z wyższym wykształceniem, uzyskanym w WAT, czyli w Wojskowej Akademii Technicznej. Pierwszy z nich, oficer mający wtedy stopień porucznika, czasowo pełnił obowiązki dowódcy dywizjonu technicznego. Właściwy dowódca dywizjonu, w stopniu kapitana, sam w tym czasie był na jakimś kursie i wyższego wykształcenia nie zrobił do końca służby. Nie przeszkodziło mu to jednak, jeszcze w czasie mojej służby w pułku, przenieść się do lepszego garnizonu, na takie samo stanowisko i potem stamtąd już odejść do cywila. Drugim „WAT-owcem” był inżynier osprzętu, mój późniejszy przełożony po specjalności. Kadra zawodowa pułku mieszkała na nowo wybudowanym wojskowym osiedlu, po sąsiedzku z miasteczkiem.

W babimojskim pułku wszystko było nowe albo w budowie, bo pułk latał z tego, też nowego lotniska, pierwotnie przeznaczonego dla Ruskich, od 1957 roku czyli ledwie szósty rok. A wziął się tam stąd, że w tym właśnie, 1957 roku, do Babimostu przebazowała się trzecia eskadra 1. pułku lotnictwa myśliwskiego „Warszawa” pod dowództwem porucznika Jana Malickiego i tak rozpoczęła się historia jednostki wojskowej numer 5037, do której właśnie w dniu 1.III.1963 roku trafiliśmy. Pierwszym dowódcą tego pułku do roku 1959 był jednak major Tadeusz Abramczuk, Jan Malicki dowodził tym pułkiem przez następne dwa lata. Kiedy my tam przyszliśmy, pułkiem dowodził już kolejny trzeci dowódca. „Starsza” część osiedla wojskowego składała się z jednopiętrowych bloków z ogrzewaniem piecowym, ale z podłączoną instalacją gazową do babimojskiej, poniemieckiej, przedwojennej gazowni. Nowsza część, nieco mniej niż połowa osiedla, to były również bloki jednopiętrowe, ale już z centralnym ogrzewaniem. Najlepsze osiedlowe mieszkania miały dwa pokoje z kuchnią, gazem i centralnym ogrzewaniem. Lotnicy powinni byli mieszkać w mieszkaniach dwupokojowych, aby pilot mógł przed nocnymi lotami odpocząć. Reszta ludzi się w tej kalkulacji nie liczyła, choć na loty wychodził zawsze prawie cały pułk. Zawodowa kadra, która nie miała mieszkań miała zapewnione zakwaterowanie w tak zwanym „internacie”, którym były sześćosobowe sale żołnierskie w suterenie bloku batalionu zaopatrzenia w koszarach. Nie wszyscy oczekujący na mieszkania chcieli tam mieszkać, dlatego też niektórzy wynajmowali pokoje w domach w miasteczku. Okna tego „internatu” były na poziomie gruntu, do pokoju można było więc wchodzić bezpośrednio, bez wchodzenia do klatki schodowej bloku koszarowego. Do tego „internatu” też trafiliśmy i my, jako podchorążowie, przyszła kadra oficerska tego pułku. Na osiedlu był wprawdzie sklep Wojskowej Centrali Handlowej, ale nie było ani klubu garnizonowego ani hotelu oficerskiego, które były dopiero w budowie. Sklep na osiedlu nie prowadził sprzedaży mięsa ani mleka, a sklep mięsny, w założeniu tylko dla rodzin wojskowych, otwarto po kilku latach, w koszarach, ponad kilometr od osiedla. Mięso było przecież najbardziej deficytowym towarem „czasu budowania podstaw socjalizmu” w naszym kraju. Oszczędzano na wszystkim, szczytem absurdu jeszcze w tamtym, 1963 roku, było wyłączanie hydroforu po godzinie dwudziestej drugiej, przez co osiedle do rana nie miało wody.

Mimo tej, tylko w części opisaney nędzy, byliśmy pełni optymizmu i fantazji. Już w tydzień po przyjeździe daliśmy pierwszy „występ”. Z okazji „Dnia Kobiet” odbywała się zabawa w pomieszczeniach kasyna przy koszarach, które to kasyno przez kilka lat dodatkowo udawało klub ofi-

cerski. Ja akurat grałem w eskadrze w brydża, ale dwóch kolegów - Józek S. i Wiesiek W., zwany Wawrzonem Toporkiem, poszło na ten bal, bo uważali, że potrafią grać w orkiestrze (byliśmy już wtedy po spożyciu niezłej ilości wina po 16 złotych za butelkę, mocno poprawiającego samopoczucie i samoocenę). Ponieważ my, grający w brydża, każdego szlema i szlemika, bez względu na to, czy były ugrane, czy nie, czciliśmy toastami wypijanymi z żołnierskich kubków, wkrótce brakło wina. Padło na mnie i ja poszedłem do bufetu, w tymże kasynie, uzupełnić napitki. Przy bufecie był normalny tłok, więc mogłem rozglądać się po sali. Zobaczyłem kolegów rzeczywiście „udzielających się” w orkiestrze, Wawrzona przy kontrabasie i Józka za perkusją. W tej sytuacji poczułem zew krwi i pomaszerowałem po damę do tańca, która ze mną bez oporów ruszyła w tany. Potem odprowadziłem panią do stolika, kupiłem rzeczony napoje i wróciłem dalej czcić udane licytacje brydżowe. Okazało się potem, że nasi koledzy nie zyskali uznania jako orkiestranci, utrudniając balowanie tańczącym a ponadto, grając dodatkowo solówki między graniem do tańca, zakłócali tak zwany spokój. Okazało się też, że dama, z którą ja tańczyłem, była żoną dowódcy pułku, któremu dodatkowo jeszcze nie spodobało się to, że wyniosłem z bufetu sporą ilość butelek wina.

Finał awantury był szybko: W poniedziałek przeniesieni zostaliśmy z „internatu” do czteroosobowych izb żołnierskich przy eskadrach technicznych, do których byliśmy przydzieleni. Dodatkowo mieliśmy zostać przeniesieni z kasyna na stołówkę żołnierską. Pierwsza „kara” w gruncie rzeczy nie była represją a ułatwieniem życia. Po prostu tam, w tym „internacie” mieszkało się tak samo jak w koszarach, nawet w większych salach a do tego nie mieliśmy łączności z eskadrami, z którymi musieliśmy razem wychodzić na zbiórki dywizyjne i wyjeżdżać na lotnisko. Trzeba było więc samemu pilnować czasu. Mieszkając już w eskadrze wystarczyło słuchać, co się dzieje na korytarzu, aby problem spóźnienia przestał istnieć. Z drugą represją się nie zgodziliśmy i wywalczyliśmy jej cofnięcie, przy pomocy oficera kontrolującego nasze praktyki, który był z Dowództwa Wojsk OPK albo ze Sztabu Generalnego WP. Do końca pobytu w pułku jako podchorążowie żywił się w kasynie.

### **Nowa rzeczywistość**

Właściwie prawie mieszkaliśmy na lotnisku. Dzień stawał się coraz dłuższy, więc pułk latał ile tylko się dało, tym bardziej, że planowane naloty były zbyt wysokie, wprost nie do wykonania. Wyglądało to mniej więcej tak: W poniedziałek rano zawsze były zajęcia polityczne - to był rytuał. Trzeba było ponadto dochodzić do pełnej sprawności po wysiłkach sobotnio-niedzielnych. Aparat partyjno-polityczny dbał o właściwe morale i postawy żołnierzy, dowódca pułku – o sprawność kadry zawodowej i bezpieczne latanie. Potem jechaliśmy na lotnisko, na przygotowanie sprzętu do lotów. Z zasady, po krótkiej przerwie na tak zwany odpoczynek, były loty dzieńno-nocne albo nocne. We wtorek od rana jechaliśmy na lotnisko, na dzień techniczny, po którym oczywiście znów były loty i tak na przemian. W czwartek, ewentualnie w piątek obowiązkowo były drugi raz zajęcia polityczne. Z zasady też z piątku na sobotę były loty dzieńno-nocne lub nocne, po których w sobotę był dzień techniczny. W soboty nigdy lotów nie było. Podobnie w poniedziałek nie było lotów dziennych, z przyczyn wtedy oczywistych, kto chce, niech zgaduje lub się tych przyczyn domyśla. Jeżeli wystawione na piątkowe loty samoloty nie miały defektów, czyli po lotach wracały na stoisko eskadry sprawne, udawało mi się zwalniać z soboty i jechać do Oleśnicy. Nie było tak zbyt często, bo samoloty stojące pod gołym niebem i eksploatowane tak intensywnie, były podatne na defekty. Szczególnie dotyczyło to urządzeń radiowych, osprzętu i przyrządów pokładowych. Tak więc w sobotni dzień techniczny często czekała nas praca na sprzęcie, w tym usuwanie defektów. Zasada była prosta: Sprzęt musi być sprawny albo usprawniany. W przypadku poważniejszych awarii samolot ściągany był do jedyne go hangaru, w którym był Dział Obsługi Technicznej Samolotów, w pozostałych przypadkach awarię usuwało się na stoisku eskadrowym, pod gołym niebem, bez względu na pogodę i do skutku, nieraz mocno popołudniowego.

Jeżeli jednak szło dobrze, około piątej rano z Babimostu odchodził pociąg, którym wyjeżdżając mogłem, oczywiście z przesiadkami, dojechać do Oleśnicy tak, aby być tam wczesnym popołudniem. Czas w Oleśnicy spędzaliśmy z moją późniejszą żoną prawie w całości w łóżku, wychodząc tylko na spacer albo coś zjeść. Tak powstała podstawa pod nasze małżeństwo, do którego dążyliśmy uparcie, wbrew wielu przeszkodom. Podczas tych podróży miałem dwie dziwne przygo-

dy, obie w Głogowie, gdzie się przesiadałem. Kiedy czekałem w bufecie kolejowym na pociąg, podszedł do mnie młody człowiek, w którym rozpoznałem Romka Z. z Cieszyna, z którym chodziłem jeden rok do Technikum. Był jednym z tych, który „nie uciągnął” tego co nam wkładali w tej nowej szkole do głów. Zapamiętałem Go również dlatego, bo miał młodszą siostrę, uczącą się w „Handlówce”. On tam najpierw służył w wojsku a potem mieszkał od jakiegoś czasu a ja byłem na tej stacji chyba dwa razy w życiu. Tym drugim razem spotkałem tam lotnika - Rosjanina z któregoś pułku na Dolnym Śląsku. Obaj czekaliśmy dość długo na połączenie kolejowe i siedząc w bufecie, głównie słuchałem jego opowieści. Oni już latali na MiG-21, a przedtem na MiG-19. Jak mówił, MiG-21 był wspaniałym samolotem, a po czasie latania na samolotach MiG-19 został znaczny cmentarz pilotów. Pamiętam, że byłem mocno zaskoczony szczerością wynurzeń tego lotnika.

Krótko po tym jak przyszedliśmy na te podchorążackie praktyki, w poznańskim pułku, należącym do naszego, wrocławskiego korpusu OPK miała podczas nocnych lotów miejsce katastrofa, w wyniku której zginął pilot Wawrzyniec C. a jego Mig-21 rozbił się. Po tej katastrofie ówczesny dowódca korpusu osobiście przyleciał do każdego z pułków korpusu aby tam omówić szczegółowo tę tragedię, spowodowaną przez pilota, który w niej zginął. To było szczególne, przynajmniej dla, mnie mocno emocjonalne zdarzenie, uświadamiające mi znaczenie przestrzegania przepisów i procedur lotniczych. Byłem wprawdzie tylko kandydatem na dowódcę klucza technicznego, a więc osobą z personelu naziemnego, jednak zapamiętałem tam przekazywane treści bardzo dokładnie, szczególnie te mówiące o zagrożeniach wynikających z braku szacunku do zasad działania i do przepisów. Dowódca korpusu starał się swojemu wystąpieniu nadawać jak najbardziej rzeczowy, spokojny ton, jednak widać było, że tę katastrofę przeżywał bardzo mocno. Ten pilot pochowany został na miłostowskim cmentarzu, jednak na jego ówczesnych peryferiach, z dala od wojskowej części tego cmentarza. O przyczynach takiego wyboru miejsca pochówku nie dowiadywałem się nigdy. Bodaj dwa lata później w tym samym pułku zdarzyła się kolejna katastrofa samolotu Mig-21. To było jednak coś zupełnie innego, podczas startu „obciął” silnik i samolot zwałił się na ziemię już poza terenem lotniska, uderzając w dom. Pilot zginął, zginęli też mieszkańcy tego domu. O tej katastrofie nie mówiło się prawie wcale, grób tego pilota także znajduje się na miłostowskim cmentarzu. Dodam tylko że grób tego pilota, z którego samolotem w 1963 roku zderzył się nad krzesińskim lotniskiem porucznik C. także znajduje się na tym samym cmentarzu, jednak w dużej odległości od grobu sprawcy tej katastrofy. Pułkownik pilot P. zmarł wiele lat później, spoczywa obok swojej żony. Wracając zaś do omówienia tej katastrofy w babimojskim pułku dodam, że szczególną rzeczą, pokazującą jak bardzo nasz pułk ciągle się jeszcze dopiero organizował, był fakt, że słuchaliśmy dowódcy korpusu w pomieszczeniu udającym klub żołnierski i znajdującym się w suterenie koszarowca batalionu zaopatrzenia, bo pułk nie tylko nie miał jeszcze swojego klubu oficerskiego ale nawet nie było jeszcze sali odpraw dla kadry pułku. A był to już szósty rok istnienia i pełnej gotowości bojowej tej jednostki lotniczej.

Wiosną 1963 roku we Wrocławiu miała miejsce epidemia czarnej ospy. Samo wydarzenie stało się kanwą do scenariusza filmu o tej epidemii, który nazywał się „Zaraza” i który wydarzenia przedstawiał w sposób bardzo zbliżony do tego, co się tam naprawdę działo. Ja jeżdżąc do Oleśnicy przejeżdżałem przez Wrocław, innej drogi nie było. Żołnierze mieli maksymalnie ograniczone przepustki do Wrocławia, więc moje wyjazdy były nielegalne. Kiedy jednego razu, podczas posiłku w kasynie mówiłem coś o Wrocławiu i mojej tam bytności, wywołałem niezłe zamieszanie. Nie pamiętam już kto, może ja sam, zażartowałem, że miałem kontakt z chorym na ospę i o mało co nie trafiłem na kwarantannę do Trzebnicy. Ktoś to doniósł dalej i sprawa zaczęła się rozkręcać. Lekarz bił się z myślami, co meldować przełożonym, bo tej ospy bali się wszyscy jak cholera. A droga do miejsca kwarantanny była prosta. Opowiadała mi znajoma dziewczyna właśnie z Wrocławia, że ona też była w Trzebnicy i to tylko dlatego, że podwiózł ją znajomy karetką pogotowia, a potem ustalono, że w tejże karetce był przewożony wcześniej zarażony. Jednak pomalutku rozeszło się to po kościołach, chyba z pomocą lekarza, mojego rodaka z Cieszyna, który tam odrabiał swoje dwa lata przymusowej służby wojskowej i odliczał każdy dzień, jaki jemu pozostał do odsłużenia.

Wracając do spraw babimojskich, powiedzieć trzeba, że tam, nie tylko dla nas podchorążych, było do zwariowania. Koszar i lotniska jako stałego elementu codzienności było bardzo dużo, zdecydowanie ponad osiem godzin dziennie. Jednak dodać trzeba, że kiedy kończyły się te dwie

sprawy, pokazywała się pustka, którą było życie w enklawie małego wojskowego osiedla i koszar, niestety zupełnie obok życia tego małego miasteczka, jakim był Babimost. A w tej pustce trudno było się znaleźć. Na przemian, jeżeli już tam byliśmy, graliśmy w karty, wznosząc toasty albo chodziliśmy na stację kolejową, aby popatrzeć na pociągi i zważyć się na dokładnej, jeszcze ponemieckiej wadze. Pamiętam, że w tamtym czasie ubywało mi na wadze, około pół kilograma na tydzień, a byłem i tak już zbyt szczupły. Powstawało napięcie psychiczne podobne do tego, które wyprzedzało nas z koszar w Oleśnicy, tyle tylko, że w Babimostcie nie było ani dokąd ani do kogo uciekać. Mieszkańców miasteczka powszechnie nazywano „autochtonami”, jako że Babimost przed wojną należał do Niemiec i nie wszystkie ślady niemieckości miasteczka zostały wyrugowane. Nazwa ta była stosowana powszechnie, tym bardziej, że większość kadry zawodowej pułku pochodziła ze wschodniej części Polski, w tym także z terenów, które po wojnie weszły w skład ZSRR. W Babimostcie w tamtym czasie w niektórych domach rzeczywiście mówiło się wyłącznie po niemiecku. Dzieci tych rodzin wchodząc do domu po powrocie ze szkoły mówiły „Guten Tag”, sam miałem okazję to słyszeć. W mowie dorosłych zdarzało się dość często słyszeć niemiecką „Aussprache” czyli wymowę, która dla mnie dziwnie kontrastowała ze wschodnim zaśpiewem innych, tych nowych mieszkańców tego miasteczka. Mleko kupowaliśmy indywidualnie, u gospodarzy babimojskich. Ci, u których ja kupowałem, nazywali się Meier i oboje po polsku mówili dość słabo, choć było to mieszane, polsko-niemieckie małżeństwo.

W Babimostcie zrobiłem krok naprzód w swoim rozwoju społecznym. O ile w Oleśnicy przez całe dwa i pół roku ani raz nie wszedłem do żadnego kościoła ani nie oglądałem żadnego z tamtejszych cmentarzy, czego wstydzę się bardzo, o tyle w Babimostcie już mnie te sprawy zaczęły interesować. Pewien wpływ miał fakt, że w Babimostcie nie było dokąd pójść w czasie wolnym, ale to nie było chyba najważniejsze. Oleśnica jako miasto i miejsce czasowego pobytu, nie interesowała mnie prawie wcale, traktowałem to miejsce jako miejsce etapowe na dalszej drodze życia. A przecież mogłem pomyśleć, żeby postarać się w Oleśnicy zostać, jak kilku z moich kolegów. Temu, że tak się nie stało, dziwił się będę chyba do końca życia. Na Babimost czułem się „skazany” i może dlatego poczułem potrzebę poznania miejsca, w którym miałem żyć przynajmniej przez kilka lat. W tym miasteczku były dwa kościoły - w części „starej – polskiej”, jeszcze przedrozbiorowej, przy rynku był kościół katolicki, oczywiście czynny, w części „nowej - niemieckiej” stał nieczynny ewangelicki zbór, zamieniony na magazyn. W dawnej pastorówce mieszkał szewc, wiem to stąd, że u niego właśnie naprawialiśmy buty. O dawnej synagodze i babimojskich Żydach nie miałem wtedy bladego nawet pojęcia. Trzy cmentarze położone były prawie obok siebie, za „nową, niemiecką” częścią Babimostu, z tym że po zlikwidowanym w latach pięćdziesiątych, czyli po wojnie i to absolutnie do zera, kirkucie było już tylko wspomnienie, niechętnie podejmowane przez mieszkańców, to wspomnienie dotarło do mnie o wiele później. W katolickim kościele zaskoczył mnie niewielki drewniany tryptyk w ołtarzu głównym, pochodzący podobno ze szkoły Duerera. Na cmentarzu ewangelickim, czynnym jeszcze chyba dwa lata po wojnie, zagadką okazała się dziwna, długa przyzma, którą dopiero wiele lat później, nie wiem czy słusznie, skojarzyłem z masowym grobem z czasu wojny.

Ponieważ przed wyjazdem zostaliśmy poinformowani, że do tych pułków, gdzie poszliśmy na praktyki, wrócimy po promocji, postanowiłem wyjść czasowi na przeciw i zakotwiczyć już wcześniej. Moja przyszła żona, pracowała w okienku na poczcie w Oleśnicy. Zorientowałem się, że zapoznana przeze mnie Estera, pracująca na poczcie w Babimostcie, chce z tego okienka odejść i w tym zobaczyłem szansę. W tym miasteczku o pracę było trudno. Dogadaliśmy się z miejscowym naczelnikiem poczty i reszta była już łatwa, przynajmniej w części dotyczącej przeniesienia służbowego Bożeny do Babimostu. Wynająłem mieszkanie w mieście i jakoś w maju już mieszkaliśmy razem. Postanowiliśmy także zalegalizować nasz związek, czyli wziąć ślub cywilny. Sprawy przyjęły jednak niesamowity obrót, okazało się, że jest to niemożliwe. Ja miałem tylko kościelną metrykę urodzenia i chrztu, wystawioną na Zaolziu, w parafii błędowickiej, po czesku bludowickiej. Nazywała się „Rodni a krzestni list”. Tego rodzaju dokumenty przestały być na początku lat sześćdziesiątych honorowane przez władze polskie o czym nie wiedziałem, bo skąd miałbym wiedzieć. Trzeba było mieć metrykę cywilną. Czechom, mimo starań mojego Ojca, wcale się nie spieszyło, wręcz utrudniali wydanie nowego dokumentu urodzenia. Nie mogłem więc się ożenić, ale mieszka-

liśmy tam w Babimoście, już razem, bardzo daleko od naszych domów. Było różnie, jak to w życiu, ale przede wszystkim dobrze. Bożena cieszyła się z tego, że wyniosła się ze swojego pokoiku na trzecim piętrze, w kamienicy przy oleśnickim parku i że nie jest sama. Ja cieszyłem się z tego, że mam kogoś, kto akceptuje mnie bez większych zastrzeżeń i chce ze mną być.

Wracając do tej nieszczęsnej metryki, myślę że warto napisać jeszcze o dwóch rzeczach: W tej metryce kościelnej miałem wpisane dwa imiona, Hubert i Maksymilian, oba przypadkowe, właściwie wbrew woli mojego Ojca. Mieszkaliśmy na Zaolziu, które zostało, jak cały polski Górny Śląsk wcielone do Trzeciej Rzeszy. Ojciec Volkslisty nie podpisał, do dziś mam Jego Ausweis z dużą literą „P”, wpisaną na czerwono. Jednak On upierał się, że mam na imię otrzymać „Boguchwał”, jako syn Polaka. Na moje pierwsze imię się zgodził, bo też nie wierzył, że wujek Hubert, brat Mamy, franciszkanin, już wtedy będący więźniem obozu koncentracyjnego w Dachau, stamtąd wróci. Na szczęście błędowicki proboszcz wykazał się większym rozsądkiem, odmówił nadania mi imienia Boguchwał, bo nie ma takiego świętego czyli nie miałbym patrona. Zamiast tego, wpisał mi jako drugie imię Maksymilian, czyli to, które jest w kalendarzu w dniu mojego urodzenia. W nowej czeskiej metryce, którą po wielu staraniach mojego Ojca otrzymałem, było już tylko imię Hubert, domyślałem się, że imię Maksymilian zostało pominięte, jako imię z chrztu. Myślę, że była to czeska realizacja zasady rozdziału państwa i kościoła, wzmocniona złośliwością i niechęcią do Polaków, szczególnie tam, na Zaolziu.

Pamiętam, że Piweckim, u których mieszkaliśmy przy babimojskim rynku płaciliśmy sto pięćdziesiąt złotych miesięcznie, mieliśmy też swoje liczniki prądu i gazu. Ja miałem prawie tysiąc złotych miesięcznie, na co składał się żołd, dodatek za papierosy, dwadzieścia procent za etat starszego mechanika i równoważnik za wyżywienie. Bożena zarabiała nieco ponad tysiąc sto złotych. Wyżyć za to było dość trudno, ale za takie, a nawet mniejsze pieniądze musiało wtedy żyć wiele rodzin. Czekaliśmy na lepsze czasy, gdy już będę po promocji, z pensją oficerską, czyli dodatkowym jednym tysiącem złotych miesięcznie. Takie to mieliśmy „kokosy”, które niektórzy „jedynie słuszni” wypominali i chyba do końca świata wypominać będą ludziom, służącym wtedy w wojsku. A przykra prawda była taka, że jako pomocnik maszynisty, czyli palacz na parowozie zarabiałem znacznie ponad dwa tysiące złotych a gdybym został maszynistą, miałbym niewiele mniej, niż dwa razy tyle, co otrzymywałem później jako oficer służby inżynieryjno-lotniczej w stopniu porucznika. Szczególnie w tak zwanych oddalonych garnizonach otrzymywało się dość szybko mieszkanie, ale jakby dla wyrównania, znakomita część żon osób wojskowych nie pracowała, bo tam po prostu pracy nie było. Wypomina się także tak zwane przywileje w postaci zniżki kolejowej czy deputatu mundurowego, ale przecież te „przywileje” miało wiele grup zawodowych od kolejarzy, przez górników aż do pocztowców włącznie. Dodać należałoby, że te „przywileje” w znacznej części były przeniesioną do powojennej rzeczywistości tradycją jeszcze przedwojenną.

W połowie sierpnia zostawiłem Bożenę w Babimoście i ze wszystkimi wróciłem do Oleśnicy, na promocję. Tam jeszcze przez kilka dni dorabialiśmy, pracując fizycznie przy kopaniu jakichś fundamentów. O dorobieniu praw jazdy nikt nawet nie pomyślał, taka była wartość naszych przełożonych. Z nas nikt także nie próbował się o to upomnieć, beznadziejne, ale prawda. Potem była już tylko promocja, bal promocyjny, na którym nie byłem, wspólny urlop, ślub cywilny i powrót do pułku. Bezpośrednio po promocji pojechaliśmy do Warszawy, po przydziały do jednostek, już jako oficerowie. Tam okazało się, że otrzymałem skierowanie nie do pułku w Babimoście, a we Wrocławiu. Dość długo nie wiedziałem, śmiać się czy płakać, jednak decyzję podjąłem bez dłuższego zastanawiania się.

Warunki w wojsku odpowiadały, jak już wspomniałem, czasom wojennego komunizmu. Na mieszkanie w Babimoście, jako tak zwanym „leśnym, oddalonym garnizonie”, mogłem liczyć jednak w czasie do jednego roku, a we Wrocławiu czekałbym nie mniej niż dwa lata. Rzeczywistość okazała się jeszcze łaskawsza, bo już w grudniu 1963, czyli ledwie po kwartale oczekiwania, mieszkaliśmy w małym, wprawdzie jednopokojowym ale swoim mieszkaniu, z centralnym ogrzewaniem i balkonem. Poza tym osiedla pułkowe w przypadku Wrocławia i Poznania były daleko za miastami. Byli owszem tacy, którzy mieszkali w mieście, ale oni wytracali bardzo dużo czasu na dojazdy. W Babimoście z osiedla do koszar szło się niecały kwadrans. Zdążyłem już zrozumieć, że technik musi mieć blisko do koszar i na lotnisko, bo inaczej zajeździ się na śmierć. Bez dłuższego

zastanawiania się, tam w Warszawie, zamieniłem skierowanie ze Stefcem K., moim najlepszym kolegą, z którym prycza w pryczę przeszedłem podchorążówkę. W ten sposób on trafił do pułku na Strachowicach, czyli do Wrocławia, a ja zostałem w Babimoście. Stefan zbyt długo w dywizjonie technicznym nie wytrzymał, udało mu się wydostać najpierw poza technikę, potem poza wojsko. Trudno powiedzieć, jak poszłoby nam, gdyby Stefan został w Babimoście a ja poszedłbym do Wrocławia. Te siedem lat leśnego garnizonu rozwinęło mnie w określony sposób, choć byłem tam za długo. Teraz myślę, że pięć lat było maksymalnym okresem, po którym należało przede wszystkim uciekać z betonu, czyli z dywizjonu technicznego ale także do innego garnizonu. Jednak wydostać się z leśnego garnizonu było bardzo trudno, szczególnie młodemu żołnierzowi zawodowemu.

Na początku służby w Babimoście spotkałem dwóch szczególnych ludzi, oficerów rezerwy, odrabiających, zgodnie z ówczesnymi przepisami, dwa lata wojska: Lekarza z Cieszyna, który nie mógł zrozumieć, czego ja szukam w wojsku i który odliczał dni, które jemu zostały (odszedł jakoś w maju lub czerwcu 1963) i dowódcę klucza osprzętu w pierwszej eskadrze, Władka F., który też został powołany na dwa lata „w kamasze” i odszedł z wojska jakoś wiosną następnego roku. Z pierwszym poznałem się tylko przelotnie, a potem nie spotkałem się już nigdy, choć starsza siostra, w czasie kiedy pracowała w cieszyńskim szpitalu, wspominała mi o nim. Z Władkiem zaś byliśmy po mojej promocji do końca jego służby w jednej eskadrze, byłem tam najpierw technikiem a po jego odejściu, dowódcą klucza osprzętu. Władek był chyba kawalerem, nigdy nie mówił o rodzinie. Pochodził z Zagłębia, gdzie pracował na kopalni. Ostro pociągał z butelki, jednak nie zaniedbywał swoich obowiązków, dbał o sprzęt, a w ten sposób o życie swoich kolegów - lotników. Cały czas w pułku mieszkał w tym wspomnianym koszarowym „internacie”, dożywiał się na stołówce żołnierskiej a pieniądze w całości chyba przepijał albo przegrywał w karty. Te dwa lata w służbie były dla niego czarną dziurą w życiorysie. Na propozycje pozostania w wojsku, które były jemu składane, odpowiadał, że wolałby się zabić. Z nim także nie spotkaliśmy się już nigdy potem.

### **Jakby na swoim miejscu**

Z naszej oleśnickiej dziewiątki, po promocji do pułku wróciło nas tylko sześciu. Poza Stefcem K. do wrocławskiego pułku przeszedł także Stefan L., a do pułku krzesińskiego odszedł poznaniak Andrzej „Pada” S. Dziwna sprawa, ale Stefan L. też za długo w wojsku nie był, najpierw się rozpił i pożegnał z armią, potem rozszedł się z żoną a potem, kiedy spotkałem go w 1980 roku, był niepijącym alkoholikiem, trudnym w kontakcie. Potem jeszcze, gdzieś po roku, do Sochaczewa odszedł Józek S., ten od perkusji, a z pozostałej piątki dopiero ja w 1970 roku zostałem przeniesiony do Piły.

W Babimoście dziwną dla mnie rzeczą było to, że przedwojenna szkoła, solidny choć nieduży budynek, znajdowała się zupełnie na skraju miasteczka, przy drodze wyjazdowej na Zbąszynek, za „nową” niemiecką częścią miasteczka, czyli możliwie najdalej od jego części starej, „polskiej”. Chyba na samym początku lat sześćdziesiątych oddana do użytku została duża, nowa szkoła, może miało to związek z powstałą wtedy jednostką wojskową. Zaś w końcu lat sześćdziesiątych w tamtej starej szkole uruchomiona została tak zwana „cholewkarnia” czyli nieduża fabryczka obuwia, współpracująca z jakąś fabryką w ówczesnej Niemieckiej Republice Demokratycznej. Nie było jednak w Babimoście tamtego czasu przedszkola. Fakt ten stał się problemem dopiero, gdy do babimojskiego pułku zaczęli przychodzić młodzi żołnierze zawodowi, których żony chciały być czymś więcej niż tylko matkami dzieciom. Z inicjatywy młodych oficerów powstał w pułku zespół ludzi, którzy podjęli się inicjatywy budowy przedszkola. Zebrana została nawet znaczna ilość pieniędzy i zakupiono materiały budowlane, które złożone zostały na przyszłym placu budowy. Sprawa jednak utknęła w martwym punkcie, chyba z przyczyn biurokratycznych i braku porozumienia z miejscową władzą. Kiedy w roku 1970 wyjeżdżałem z Babimostu było już jasne, że cała inicjatywa, w tym nasze wpłacone pieniądze i poniesiony wysiłek poszły na marne.

Kiedy przyszliśmy jako podchorążowie do pułku, dywizjon techniczny składał się z dwóch eskadr i DOTS, czyli Działu Technicznej Obsługi Samolotów. Kiedy wróciliśmy po promocji, jako oficerowie, ja zostałem przydzielony do pierwszej eskadry, gdzie dowódcą klucza osprzętu był wspomniany wcześniej Władek F., szykujący się do odejścia do cywila po odsłużeniu „swoich” dwóch lat. Wkrótce potem utworzona została trzecia eskadra, poprzez inny rozdział samolotów,

będących już w składzie pułku. Ja znalazłem się w „nowej” pierwszej eskadrze, gdzie po zgłoszeniu swojemu dowódcy moich chęci, zostałem dodatkowo kierownikiem grupy szkolenia politycznego żołnierzy eskadry. To dodatkowe zajęcie było wprawdzie dość obciążające, ale uważałem, że dla mnie będzie korzystne i do dziś uważam, że był to właściwy krok. Kierownicy grup szkolenia politycznego w soboty nie wyjeżdżali do prac na lotnisko, ale w tak zwanym lektoracie, przygotowywali się do zajęć, pisząc bezwzględnie obowiązkowe konspekty a przy okazji zapoznając się z prasą, nie tylko tą wojskową. Za to dodatkowe zajęcie byliśmy też wyróżniani, często nawet nagrodami pieniężnymi, poprawiającymi domowe budżety.

W roku 1966 przewodnia siła narodu, czyli Polska Zjednoczona Partia Robotnicza, „wniosła” swój wkład w polską oświatę i naukę, powołując przy Wojewódzkich Komitetach PZPR tak zwane „WUML’e”, czyli Wieczorowe Uniwersytety Marksizmu - Leninizmu. W pewnym sensie za udział w szkoleniu politycznym żołnierzy, otrzymałem szansę podjęcia tych „studiów”, z czego bez wahania skorzystałem. Zajęcia odbywały się jeden raz w tygodniu, do dziś pamiętam, że był to wtorek. Wyjeżdżaliśmy w południe służbowym autobusem do Zielonej Góry, po obiedzie w stołówce tegoż Komitetu, pobieraliśmy nauki przez cztery godziny. Bez względu na żarty i kpiny, jakich nie szczędzono później tym WUML-om, powiedzieć trzeba, że tamte zajęcia prowadzone były na przyzwoitym poziomie, przez nauczycieli akademickich głównie z Poznania i Warszawy. Była to też okazja do kontaktu z innymi ludźmi, spoza wojska, bo w tym pierwszym WUML-u „kształcili” się na przykład pracownicy sądów – powiatowych i wojewódzkiego z Zielonej Góry. Tam poznałem Urszulę, absolwentkę wydziału prawa poznańskiego Uniwersytetu im. A. Mickiewicza, robiącą już po studiach aplikację w zielonogórskim Sądzie Wojewódzkim. Była córką Żydów z Nowej Soli, którzy tam prowadzili sklep bławatny. Polubiliśmy się, ale nasza znajomość była krótka, bo w wyniku „marcowych” antyżydowskich awantur w roku 1968 ta rodzina musiała wyjechać do Izraela. Dziewczyna czuła straszną krzywdę, płakała, kiedy mówiła mi, że muszą wyjeżdżać. Nie wiem, jak zakończyła się sprawa kierowniczkii naszego WUML-u, towarzyszkii L., która także była Żydówką. Wiem, że ona i jej mąż też byli zagrożeni przymusowym wyjazdem.

Prawie od początku służby oficerskiej byłem dowódcą klucza osprzętu w pierwszej eskadrze, w której mieliśmy dwa typy samolotów, oba trudne w eksploatacji, trudniejsze niż pozostały sprzęt pułku. Były to samoloty szkolno-bojowe SBLim-1 i SBLim-2, z ruskiego nazywane „szparkami” oraz Lim-5p, tak zwane „peefki”. Największy problem polegał na tym, że „szparki” latały na każdym lotach, czyli z drugą i trzecią eskadrą także, a „peefki” oprócz regularnych lotów, stały na „parach dyżurnych”, co w tym pierwszym przypadku wymagało obecności na każdym lotach a w tym drugim – kontroli tych samolotów dwukrotnie w ciągu dnia, przy zmianach pilotów, dyżurujących na tych „parach”, czyli o szóstej rano oraz o osiemnastej. Czas robił jednak swoje, przyzwyczajałem się do tego kieratu, szło mi coraz lepiej, mimo że stan osobowy klucza nigdy nie był pełny. Z przypisanych etatem czterech starszych mechaników, podoficerów zawodowych nigdy nie miałem więcej niż dwóch, podobnie brakowało zawsze kilku mechaników – żołnierzy służby zasadniczej. Starszych mechaników czyli podoficerów zawodowych we wszystkich specjalnościach brakowało w dywizjonie technicznym jeszcze bardziej niż techników, czyli oficerów. Miałem jednak to szczęście, że ci z którymi pracowałem byli niezli w swoim fachu i prawie zawsze bardzo sumienni. Szczególnie zapamiętałem jednego z nich, Adama K., który był prawie moim rówieśnikiem i o którym powiedzieć mogę, że wyszedł spod mojej ręki, bo zaczynał swój rozwój jako kapral u mnie, w kluczu osprzętu w pierwszej eskadrze. Miał przysłowiowy „dryg do techniki” i ambicję, aby się rozwijać. W tych trudnych warunkach nie tylko doksztalał się ale także znajdował czas na udzielanie się w zielonogórskim aeroklubie na starym przedwojennym lotnisku w Przylepie. Ambitnie godził to z życiem rodzinnym, jako mąż przesympatycznej Dziewczyny, podobno tak jak Adam, sieroty z Domu Dziecka, tak ja to przynajmniej zapamiętałem. Kiedy już otrzymał mieszkanie na osiedlu wojskowym, byłem w Ich domu, zaproszony do zrobienia rodzinnych zdjęć. Kiedy już byłem w Pile, dowiedziałem się, że przeszedł do krakowskiego pułku i latał tam jako technik pokładowy. Raz jeszcze spotkaliśmy się, kiedy ja już byłem w Dowództwie Wojsk Lotniczych w Poznaniu a Adam był w załodze, która przyleciała na Ławicę. Mam wielką satysfakcję, że podobnie rozwinął się inny z moich mechaników, Tadek B., który wprawdzie został w Babimoście, ale skończył studia, a potem jako oficer został inżynierem osprzętu.



Największym problemem było jednak to, że czas naszej pracy i służby w dywizjonie technicznym w skali miesięcznej to było zawsze ponad dziesięć godzin na dobę, niestety z zaliczeniem dni wolnych. Miałem przełożonego „po specjalności” – inżyniera osprzętu, który był okropnie drobiazgowy i wymagał prowadzenia terminarza-notatnika, w którym musiałem, nie tylko ja, ściśle zapisywać awarie i usterki oraz czas pracy technicznej. Kiedy pewnego razu, na podstawie tych zapisów, policzyłem swoje obciążenie godzinowe, wyszło mi, że było to jedenaście i pół godziny na dobę, w rozliczeniu całego miesiąca, czyli z niedzielami włącznie. To może wydać się teraz niemożliwe, jednak to było prawdziwe wyliczenie, bo oprócz dni technicznych i lotów, pełniliśmy również służby garnizonowe. Na mnie padł „zaszczyt” pełnienia trzech, a nawet czterech w miesiącu służb dowódcy warty numer dwa, czyli na lotnisku, a to oznaczało dwadzieścia osiem do trzydziestu godzin służby w jednym kawałku. A prawo do dnia wolnego przysługiwało tylko za służbę z soboty na niedzielę i jak to w tamtym czasie bywało, nie zawsze ten dzień wolny można było wykorzystać. Oczywiście nie byłem żadnym wyjątkiem, zdecydowana większość ludzi w dywizjonie technicznym „orała” w ten sam sposób, wytrzymując zdrowotnie po kilka, najwyżej kilkanaście lat i uciekając ze sprzętu przy każdej nadarzającej się okazji. Poprawa mojej sytuacji przyszła niespodziewanie, w trzecim lub czwartym roku mojej służby „na betoniu”. To był przypadek a właściwie nieszczęśliwy wypadek, którego byłem naocznym świadkiem.

W DOTS kierownikiem Grupy Obsługi Technicznej Osprzętu był nasz nieco starszy kolega, Alojz R., porucznik – czołgista, przekwalifikowany do lotnictwa już jako oficer. Na moich oczach zdarzyło się jemu nieszczęście, w którym omal nie postradał życia i po tym wypadku został „spisany” ze służby inżynieryjno-lotniczej. To było zimą. Żeby nie odmrozić sobie nóg, nosiliśmy wysokie, ocieplane buty, które miały skórzane podeszwy, a więc były śliskie. Alojz w hangarze przeglądał samolot, stojący na podnośnikach, a więc skrzydło tego samolotu, na którym stał było na wysokości mniej więcej 1,30 metra. W pewnym momencie jego buty straciły przyczepność i zaczął zjeżdżać po tym skrzydle, na którym stał. To zdarzało się nieraz, nie tylko jemu. Jednak wtedy Alojz spanikował, zeszytywniał i po chwili, kiedy skrzydło dla niego się skończyło – runął w dół, jak kłoda, na wznak. Przywalił głową w beton, wydał głośny jęk i tak został. Przyznam, że w pierwszej chwili pomyślałem, że się zabił. Okazało się, że skończyło się „tylko” na wstrząsie mózgu i uszkodzeniu kręgosłupa, które po dłuższym pobycie w szpitalu ustąpiły. Jednak na sprzęt już nie wrócił, a stanowisko kierownika GOTO musiało być obsadzone.

Padło na mnie i przestałem tkwić na betoniu, w dni techniczne i na lotach. Pracy tam, w DOTS miałem chyba jeszcze więcej niż w eskadrze, bo braki kadrowe były wszędzie, ale przestałem chodzić na loty, szczególnie te nocne, pracowałem pod dachem i w zasadzie od rana do obiadu, chyba że z eskadry przyciągnięty został samolot, wymagający usprawnienia przez nas. Dość szybko uzupełniłem swoją wiedzę w zakresie procedur kontrolnych, szczególnie przy sprawdzaniu przyrządów pokładowych i urządzeń tlenowych. Bardzo cieszyłem się z poprawy warunków mojej służby. W tamtym czasie zdarzyły mi się dwa bardzo sympatyczne sukcesy. W ramach rozwijania współzawodnictwa organizowane były w Centrum Szkolenia Lotniczego w Modlinie, konkursy techniki lotniczej, przekształcone później w konkursy o „Stalowy Wawrzyn”. Dwa razy udało mi się te konkursy w swojej specjalności wygrać, co zaskutkowało każdorazowo odebraniem nagrody równej mniej więcej jednomiesięcznej pensji i oczywiście wymienieniem laureatów w czasopiśmie lotniczym o nazwie „Wiraże”. Pierwszą z tych gazet, ze zdjęciami laureatów na stronie tytułowej wysłałem mojemu Ojcu. Wiem, że większej satysfakcji nie można było Jemu sprawić. Dla mnie mała rzecz, a Jego jednak cieszyła bardzo. Kiedy już zacząłem czuć się pewnie, jako kierownik GOTO, dostałem bardzo zimny prysznic. Z Wojskowej Akademii Technicznej przyszedł do pułku młody absolwent, bardzo sympatyczny podporucznik mgr inż. Jurek L. i ja zostałem „na lodzie”, bo ten etat przypisany był do wykształcenia wyższego, którego nie miałem. To, że wcześniej o studia się starałem, nie miało żadnego znaczenia. Tym drugim sympatycznym sukcesem była nagroda rzeczowa w postaci zegarka ręcznego z dedykacją od Dowódcy Wojsk Obrony Powietrznej Kraju, którą otrzymałem za udział w konkursie dla kierowników grup szkolenia politycznego na opracowanie doświadczeń i wniosków z efektów tego szkolenia. Zegarek ten mam do dzisiaj.

Z tamtego czasu wspominam także pewne dziwne dla mnie zdarzenie, po którym na pewien czas straciłem zaufanie do kolegów. Byłem oczywiście członkiem „przewodniej siły narodu” czyli

Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej, jak prawie wszyscy zresztą koledzy-oficerowie. Kiedy przyszedliśmy do pułku, sekretarzem naszej dywizyjowej organizacji partyjnej był frontowy jeszcze żołnierz, podobno były mechanik samolotu w 2pnb, czyli w 2 pułku nocnych bombowców „Kra-ków”. Miał rosyjskie nazwisko, mówił z charakterystycznym wschodnim „zaśpiewem”, był przykładem jowialnego grubasa, już w stopniu majora, czyli bez potrzeby wykazywania się i zabiegania o cokolwiek. Nas w roku 1963 do dywizjonu przyszło dziewięciu „nowych” oficerów, z których jeden, Staszek T., był jeszcze w szkole oficerskiej tak zwanym nieetatowym sekretarzem organizacji partyjnej w batalionie podchorążych. Przy okazji kolejnych wyborów partyjnych – obowiązywała dwu- lub trzyletnia kadencja – wpadliśmy na pomysł, aby pokazać swoją siłę i na sekretarza w dywizjonie wybrać „naszego” człowieka. Pomysł nam się udał, kandydaturę Staszka poparło jeszcze kilku starszych kolegów i „słowo stało się ciałem”. Jednak niedługo potem Staszekowi coś się odmieniło, chyba zobaczył jakąś szansę wykazania się, dla nas nie wiadomo po co i dlaczego.

Było w zwyczaju, że organizacje partyjne podejmowały różne inicjatywy i zobowiązania, nie zawsze mądre, choć czasem dość oryginalne. Staszek zaproponował, abyśmy dla podkreślenia swojego zaangażowania politycznego i poparcia linii partii, nosili zawsze legitymacje w lewej górnej kieszeni munduru, że niby na sercu. Przyjęliśmy to jako zobowiązanie, bez żadnej refleksji. A ja także w pewnym sensie bez żadnej refleksji, stałem się ofiarą tego wyglupu. Pewnego razu, przed zwykłym, powiedziec można rutynowym zebraniem Staszek, czyli nasz sekretarz, zapytał mnie o coś, co wymagało wyciągnięcia z kieszeni legitymacji partyjnej. Sięgnąłem więc po nią do kieszeni spodni, gdzie było mi najwygodniej ją nosić i jak mi się wydawało było po sprawie. I tu się zawiodłem i to mocno. Po zwykłych partyjnych wytycznych i tak zwanych zadaniach dla członków partii, kiedy wydawało się, że zebranie się kończy, zostałem „wywołany do tablicy”. Mianowicie prowadzący zebranie przypomniał nam, że podjęliśmy uchwałę o tym, gdzie i dlaczego będziemy nosić nasze legitymacje partyjne. Potem zaraz powiedział, że nie wszyscy to zobowiązanie realizują, wymieniając mnie ze stopnia, imienia i nazwiska. Zrobiło się trochę „gęsto”, bo mogło się to skończyć karą partyjną, na przykład naganą, co zaskutkowało mogło pominięciem w wyróżnieniach służbowych, na przykład przy nagrodach. Jakoś jednak mi to uszło na sucho, skończyło się na ustnej reprymendzie, bez wpisania do akt, ale ja od tego wydarzenia miałem o jednego kolegę mniej. W pewnym sensie ciekawostką było to, że tenże kolega odszedł z pułku później ode mnie, nawet nie wiedziałem dokąd i spotkaliśmy się dopiero po kilkunastu latach, kiedy już pełniłem służbę w Dowództwie Wojsk Lotniczych i byłem po studiach w Akademii Sztabu Generalnego. Byłem więc dyplomowanym podpułkownikiem, a on mimo że nie zrobił żadnych studiów, miał już trzy gwiazdki na naramiennikach, czyli był pułkownikiem. Pochwalił mi się, że był na tak zwanych misjach pokojowych na Bliskim Wschodzie i że jest bardzo zadowolony z przebiegu swojej służby wojskowej. Ja jednak wciąż miałem w pamięci tamten jego „wyczyn” i na swój temat nie powiedziałem, tak na wszelki wypadek, niczego.

Innym „prysznikiem” było moje spotkanie się z kolegą z naszego batalionu podchorążych w TOSWL w Oleśnicy, który to kolega po kilku latach służby „na betonie” przeszedł do tak zwanej służby „ucho”. Nie byliśmy wprawdzie bliskimi kolegami, jednak znaliśmy się jako ludzie z tej samej promocji. Tak więc kiedy rozpoznałem go jako nowego oficera kontrwywiadu wojskowego w pułku, poszedłem się przywitać, pogadać i ewentualnie odnowić koleżeństwo. To co się wydarzyło, zaskoczyło mnie absolutnie. Facet uznając, że byliśmy wcześniej takimi samymi podchorążymi w tej samej szkole oficerskiej, zwrócił się jednak do mnie per „obywatelu poruczniku”. Z szoku po tym wydarzeniu wychodziłem bardzo długo, dobrym efektem było dla mnie zrozumienie, że tamta służba to całkiem inni ludzie, których należy unikać, czego przestrzegałem potem bardzo dokładnie.

W dywizjonie technicznym zastępcą do spraw politycznych był towarzysz B., oficer wyraźnie odróżniający się od całej reszty. Nigdy nie widzieliśmy go na żadnych tańcach, z nikim z nas, techników nigdy nigdzie nie wypił kielicha. Nawet nie widziałem go nigdy z żoną i nie wiem czy miał dzieci. Do dziś myślę, że wprost za bardzo się starał wykonywać polecenia swoich przełożonych, co nie budowało jemu autorytetu u nas, podwładnych. Zapamiętałem go z trzech powodów: Miał słabą dykcję, nie umiał się ani swobodnie ani poprawnie wypowiadać a do tego seplenił. W potocznym obiegu była „krytyczna” wypowiedź towarzysza B. na jednej z odpraw o oficerze, który bardzo starał się „uciec” z Babimostu i który wcale tego nie krył: „Wy towarzyszu nie myście, że my

będziemy z waszego powodu siaty darć!”. Jego przełożony czyli zastępca do spraw politycznych dowódcy pułku zachęcał go do podjęcia studiów w Wojskowej Akademii Politycznej w Warszawie, przy czym głównym powodem była chęć pozbycia się tego oficera z pułku, czego tenże przełożony wcale nie ukrywał. Podczas jednych ze szkoleń politycznych, które towarzyszył B. prowadził z oficerami dywizjonu, wygłosił do nas tezę o kolektywizacji polskiej wsi, która przynajmniej w moich oczach była czymś, co trudno nazwać. Powiedział mianowicie, a były to lata sześćdziesiąte, że Polska Zjednoczona Partia Robotnicza nigdy nie zrezygnowała z idei kolektywizacji wsi i z całą pewnością podejmie tę próbę ponownie, bo jest to warunek ustrojowy. Łatwo zgadnąć, jaki autorytet sobie takimi „wyczynami” budował.

### **Dziwnie, ale jakby ku lepszemu**

Babimost z czasem przestał być taką prawie zupełną „kulturalną pustynią”. Kiedy budowa klubu oficerskiego na osiedlu została dokończona, kultura, również ta wyższego lotu, zaczęła trafiać do nas dość często, tym bardziej że kierownikiem klubu został nasz tylko nieco starszy kolega z dywizjonu technicznego, z bardzo otwartą głową i dobrze rozumiejący swoją rolę. A my też kontaktu z kulturą szukaliśmy. Jeszcze przed uruchomieniem klubu chodziliśmy do Miejskiego Domu Kultury, mieszczącego się w budynku dawnej synagogi (o tym, co to za budynek, dowiedziałem się kilka lat później), między innymi na turnieje brydżowe, ale nie tylko. Problemem wtedy był brak sali widowiskowej w miasteczku, tamtejsze kino było za małe. Kiedy został oddany do użytku klub oficerski na osiedlu wojskowym, sytuacja zmieniła się zasadniczo. Klub miał dużą salę, ze sceną i garderobami dla aktorów, która to sala głównie jednak spełniała funkcję kina. I tak na przykład film „Popioły” w Babimoście widzieliśmy wcześniej niż był wyświetlany w Zielonej Górze. Kierownik klubu „załatwił”, że film został przywieziony samolotem na babimojskie lotnisko i dopiero po wyświetleniu u nas, pojechał do zielonogórskiego kina. Tenże kierownik ścigał na scenę babimojskiego klubowego kina takie zespoły jak „Czerwono-Czarni”, „Trubadurzy” czy też na przykład zespół o nazwie „Silna Grupa Pod Wezwaniem”. Zdarzały się też wizyty teatrów i wtedy oczywiście braliśmy udział w tych kontaktach z kulturą, przeszkodą mogła być tylko służba garnizonowa lub loty, które zawsze były priorytetem. Do kina w klubie a także do tamtejszej kawiarni zaczęła przychodzić nie tylko babimojska młodzież, przychodzili także coraz częściej tamtejsi mieszkańcy dojrzałym wiekiem. W ten sposób dystans pomiędzy ludźmi z miasteczka i z osiedla wojskowego powoli zaczął się zmniejszać, choć określanie mieszkańców Babimostu przez wojskowych, szczególnie przez tych starszych stażem, jako „autochtonów” nie wyszło z obiegu chyba nigdy.

Jakoś w trzecim lub czwartym roku mojej służby w Babimoście do pułku przyszedł oficer-pilot, tworzący ze swoją żoną i jej synem dość szczególną rodzinę. Szybko dowiedzieliśmy się, że chłopiec był synem poprzedniego męża, też pilota. Ta „nowa” Pani wniosła do życia towarzyskiego nową jakość, jakby z dalekiego, innego świata. Zaczęło się od prób zainteresowania pań z koła Organizacji Rodzin Wojskowych literaturą współczesną a w następnym kroku przyszło przedstawienie treści książeczki „Mały książę” autorstwa francuskiego lotnika Antoine de Saint-Exupery. O dziwo, mnie ta książeczka zainteresowała, mam jej egzemplarz w swojej biblioteczce. Ogólnie jednak „zdrowa” część naszej leśno-garnizonowej społeczności potraktowała to jako dziwactwo i tak już zostało. Ta para w Babimoście była najwyżej trzy lata, bo to przeniesienie było dla tego oficera rodzajem kwarantanny w leśnym garnizonie za rozbitcie małżeństwa swojego towarzysza broni. To była taka „poezja” tamtego czasu, że światopogląd mieliśmy mieć materialistyczny, areligijny, jednak rozwody traktowane były podobnie jak w kościele katolickim, „rozwodnicy” zazwyczaj ponosili szkody na swojej drodze służbowego rozwoju i chyba trwa to jeszcze do dziś. Po wielu latach na miłostowskim cmentarzu znalazłem grób bohaterki tego mojego wspomnienia, przyozdobiony kamienną rzeźbą róży, bo mąż przeżył swoją żonę i odprowadził ją na cmentarz. Dowiedziałem się również, że ta wielka miłość z czasem zamieniła się w obojętność a nawet niechęć, której jednak pięknym zaprzeczeniem stała się ta kamienna róża na płycie grobu w kwaterze lotników.

W dywizjonie technicznym było kilku podoficerów, którzy na początku swojej służby mieszkali poza Babimostem. Ich rodziny mieszkaly w okolicy, w ówczesnym powiecie sulechowskim, do którego należał wtedy Babimost. Oni zostali w zawodowej służbie wojskowej, jako starsi mechanicy i najpierw dojeżdżali do Babimostu, głównie z Sulechowa a potem zamieszkali w tych

starszych blokach osiedla, mających jeszcze ogrzewanie piecowe. Jednym z tych podoficerów był szczupły, drobnej budowy, bardzo sympatyczny a przede wszystkim bardzo kompetentny i pracowity mechanik, sierżant Zygmunt Z. Był przesiedleńcem chyba z Ukrainy, do końca zachował charakterystyczny „zaśpiew” wymowy. Swoje imię wymawiał „Zehmont”, jego żona ważyła przynajmniej o połowę więcej niż on. Na początku Zygmunt miał motocykl marki Pannonia, potem zamieniony na motorower marki Komar. Na obu tych pojazdach Zygmunt woził swoją żonę, co szczególnie w tym drugim przypadku wyglądało bardzo komicznie. Razem tworzyli jednak bardzo dobraną parę, a opowiedziana mi przez Zygmunta historia jej odejścia do wieczności to potwierdziła wzruszająco.

Przed laty byłem na uroczystości, poświęconej pięćdziesięciu rozwiązaniom babimojskiego pułku i z tej okazji spotkałem starych znajomych, z niektórymi trochę pogadałem, wtedy też Zygmunt opowiedział mi tę ich historię: Już w latach siedemdziesiątych został wydzielony na ogródki działkowe kawał piaszczystego pola za osiedlem wojskowym. Znaczna część kadry, nie tylko podoficerowie, podjęła się uprawy tej ziemi, używając ją na różne sposoby i budując tam letnie domki. W tym czasie żona Zygmunta zaczęła już poważnie niedomagać zdrowotnie, jednak oni też „rzucili się” na tę robotę. Pewnego dnia, kiedy Zygmunt pracował na działce samotnie, bo jego żona czuła się nieszczęśliwie, przyszedł czas tego ich pożegnania. Jak mi opowiadał, w pewnym momencie poczuł potrzebę spojrzenia na furtkę wejściową na działkę i zauważył, jakby się ona zaczęła sama otwierać. Odbierając to jako sygnał od żony, natychmiast pobiegł do domu, jednak kiedy wszedł do mieszkania, żona już nie oddychała, nie żyła.

Ze Sulechowa do Babimostu droga wiodła przez Kramsko Nowe, które w historii powiatu babimojskiego zapisało się jako twierdza polskości. Po drugiej wojnie światowej do Niemiec z tej wsi wyjechały podobno tylko trzy rodziny, pozostali mieszkańcy cieszyli się z doczekania powrotu Nowego Kramaska do Polski. Tak to wyglądało w propagandzie. Rzeczywistość miała jednak nieco inny obraz, wynikający z praktyki społecznej, której byłem świadkiem. Podobnie jak mieszkańcy Babimostu, Kramszczanie byli przez tych Polaków, którzy przybyli na te ziemie ze Wschodu, nazywani „autochtonami” i traktowani byli jako gorsi obywatele, po prostu gorsi Polacy. Jakby w rewanżu ci „autochtoni” byli przybyszom ze Wschodu niechętni, co niekiedy przybierało humorystyczny wymiar. Opowiadał mi kiedyś jeden z tych dojeżdżających ze Sulechowa, że właśnie w Kramsku przebił oponę w swoim motocyklu i chciał skorzystać z pomocy kogoś miejscowego. Niestety żaden z tych, do których zwrócił się o pomoc, tej pomocy jemu nie udzielił, tłumacząc, że albo nie ma czasu albo z jakiegoś innego powodu też pomóc nie może. Ze swojej strony dodać mogę, że ja też w Babimostzie widziałem i czułem to samo, choć moje doświadczenia nie były aż tak przykre.

Babimojski pułk był „młodą” lotniczą jednostką wojskową, choć pierwsze plany zbudowania lotniska w tej okolicy pojawiły się zaraz po wojnie. Między innymi dlatego wtedy rozebrano, po prostu zniszczono, rodzaj dworku czy zameczku, który znajdował się na wzgórzu nazywanym Winnicą, leżącym dość daleko za miasteczkiem. O tym, że na wzgórzu coś stało zaświadczała w latach sześćdziesiątych już tylko dziura w ziemi – ślad po piwnicy oraz prowadząca od drogi na Kargowę, aleja obsadzona starymi, dorodnymi drzewami. Rzekomo wieża tego dworku miała stanowić zagrożenie dla bezpieczeństwa samolotów. O dziwo nikt do tego wydarzenia ani do tego, dokąd poszła cegła i inne materiały z rozbiórki, nigdy w żaden sposób nie nawiązywał, to była kolejna zagadka i tajemnica poliszynela. W roku 1967 przypadła dziesiąta rocznica od wylądowania pierwszych samolotów na tym nowym lotnisku i stosownie wcześniej zapadła decyzja uczczenia tego wydarzenia. Z tej okazji otrzymałem zadanie wykonania zdjęć do tworzącej się „sali tradycji” w budynku sztabu pułku, co mi się nawet mocno spodobało. Z różnych archiwalnych fotografii wykonywałem zdjęcia w formacie A4, oczywiście czarno-białe a ponadto fotografowałem, robiłem dokumentację fotograficzną ówczesnego „dnia dzisiejszego” pułku. Pamiętam, że robiłem zdjęcia ludzi, którzy od pierwszego dnia jednostki służyli w tym pułku i też pamiętam, że było ich wtedy już tylko pięćdziesięciu lub jedenastu. Prace wykonywałem oczywiście w tak zwanym czasie służbowym, czyli nie jeździłem na lotnisko a „tylko” siedziałem w ciemni fotograficznej klubu oficerskiego na osiedlu. Za tę pracę zostałem wyróżniony nagrodą rzeczową w postaci aktówki, z plastiku, w jasno brązowym kolorze. Zastępca dowódcy pułku do spraw politycznych, z którym byłem w dobrych relacjach, w pewnym sensie przeprosił mnie za tę formę wyróżnienia, mówiąc, że ponieważ z okazji jubileuszu zostałem

już wyróżniony jako bardzo dobry oficer, nie mogłem otrzymać kolejnej nagrody, ani pieniężnej ani wartościowszej rzeczowej. Nie czułem z tego powodu żalu, nie miałem żadnych pretensji do nikogo, tę „teczuszkę” mam do dzisiaj i przechowuję w niej ważne dla mnie historyczne pamiątki.

Mówiąc o fotografowaniu dodam, że dłuższy czas miałem z tego zupełnie niezły dochód. Myślę, że byłem niezłym rzemieślnikiem, zdjęcia które robiłem podobały się. Miałem nawet w klubie swoją wystawę. Głównie jednak fotografowałem na zamówienie kolegów ich rodziny w czasie różnych okazji. Nieco później szczególnie dochodowe okazało się fotografowanie moich kolegów z ich partnerkami, bawiących się na różnych balach w klubie, szczególnie w czasie karnawału. Miałem dobry jak na tamte czasy aparat „Zenit” i lampę błyskową, która jednak wymagała zasilania z gniazdka elektrycznego. Sposób działania był zawsze ten sam: Bawiliśmy się i trunkowali przynajmniej do połowy czasu balowania a potem brałem aparat oraz wymienioną lampę błyskową i z tymi akcesoriami, podłączonymi do prądu, stawałem przy ścianie, gotowy do działania. Ludzie tańczyli i każdy kto chciał, tak się poruszał po parkiecie, abym miał go w zasięgu i mógł zrobić zdjęcie. Zawsze byli chętni i nieraz zdarzało się, że jeden film nie wystarczał, choć było to prawie czterdzieści zdjęć. Zakładałem więc nową kasetkę i dalej czyniłem swoją powinność. Zaletą takiego połączenia balowania i „pracy” było to, że musiałem być w miarę trzeźwy, na drugi dzień nie miałem bólu głowy z wiadomej przyczyny. Szybko wpadłem na pomysł, żeby zaraz po balowaniu wywoływać filmy, aby po ich wyschnięciu, już następnego dnia do południa robić zdjęcia. Z tymi zdjęciami, już po południu, ruszałem w osiedle, przedstawiając byłym balowiczom ich radosny a czasem zaskakujący wygląd. Nie zdarzało się, aby zdjęcia nie zostały rozsprzedane. Niektóre z tych negatywów mam do dzisiaj, a wielu moich towarzyszy broni, na nich się znajdujących, dawno przeniosło się w zaświaty. To były przecież lata sześćdziesiąte tamtego stulecia, ba nawet poprzedniego tysiąclecia. Jeżeli czas i stan techniczny tych negatywów na to pozwolą, spróbuję niektóre z nich jeszcze pokazać.

Był czas, kiedy lotnictwo, szczególnie lotnictwo wojskowe kojarzyło się z dość znaczną ilością wypadków i katastrof lotniczych. U nas, w czasie mojej służby w babimojskim pułku było jednak nieco inaczej. Przed naszym przyjściem do tego pułku miały tam miejsce wypadki i katastrofy lotnicze, w których zginęli trzej lotnicy, rzecz niesamowita, podobno nazwisko każdego z nich zaczynało się na literę „S”. Czwarty z nich, którego nazwisko także zaczynało się na tę literę, związał się z wdową po tragicznie zmarłym koledze i, co było wtedy niecodzienne, żyli bez ślubu, ale bardzo zgodnie, po prostu byli bardzo dobrze dobraną parą. Na tych wcześniejszych nieszczęściach zła passa została na kilka lat przerwana, wszystkie samoloty wracały z wykonanych zadań bez wyjątku. Dopiero po kilku latach podczas nocnych lotów, na polu pomiędzy Babimostem a Sulechowem, właściwie na własne życzenie, zginął młodszy od nas o jeden rok lotnik. Tak się złożyło, że na tych lotach nie byłem, w tym czasie przebywałem w podróży służbowej, daleko, bo aż w Szczecinie.

W Babimoście, a właściwie w pobliskich jeziorach napływałem się tak, jak już nigdy potem. Nad głębokim jeziorkiem Liny mieliśmy coś, jakby nasz pułkowy ośrodek wypoczynkowy, jednak woda w tym jeziorku była zimna, wprost nie chciało się wy pływać za daleko od brzegu. Kawalek za lotniskiem było jezioro Wojnowskie z cieplejszą wodą, gdzie czasem wyskakiwaliśmy bezpośrednio z lotniska, oczywiście przez wiadome dziury w płocie ogradzającym ten wojskowy obiekt, ale już z Babimostu było tam za daleko. Najczęściej więc jeździliśmy do Grójca, na tamtejsze dwa jeziora przez które przepływa rzeka Obra. Droga do Grójca była nieprzyjemna, bo wyłożona kamieniami polnymi i motocyklem mocno trzęsło, jednak moja MZ-250 znosiła to dobrze i tam też bywałem najczęściej. Na tym jeziorze zrobiłem sobie mało mądry i chyba ryzykowny sprawdzian. Jakoś w 1966 roku, z niewiadomych przyczyn zatkała mi się żyła pachowa lewa, co zaskutkowało bardzo silnym, choć bezbolesnym opuchnięciem tej ręki. Zostałem skierowany na leczenie szpitalne do Poznania, skąd po kilkunastu dniach wypisałem się na własne życzenie. Nie dowiedziałem się, skąd się ten mój defekt zdrowotny wziął, dostałem tylko zalecenie, żeby tę rękę oszczędzać. To było w pełni lata, więc ja postąpiłem wręcz odwrotnie. Jak najczęściej jeździłem nad jezioro, właśnie do Grójca i pływałem po jeziorze zawsze aż do zmęczenia, silnie pracując obiema rękami. Jakimś cudem mi to nie zaszkodziło, wręcz odwrotnie, opuchnięcie ręki zaczęło się zmniejszać, chyba dlatego, że skutkiem tego wysiłku inne żyły się rozszerzyły i przejęły funkcję tej zatkanej.

## Zakręt przed meta

W latach sześćdziesiątych „zimna wojna” trwała bez przerwy. W tamtym czasie miała miejsce tak zwana „praska wiosna”, w wyniku której nastąpiła interwencja wojsk Układu Warszawskiego w Czechosłowacji, nazwana „bratnią pomocą” w roku 1968. Nas ominął czynny udział w tej agresji na sąsiedni, bratni kraj socjalistyczny, tam udział brały jednostki lotnicze tak zwanego wtedy Lotnictwa Operacyjnego. Nasz pułk, jako należący do Wojsk Obrony Powietrznej Kraju, zaangażowany był tylko we wzmożone dyżurowanie par i eskadr samolotów, bez zmiany miejsca bazowania. Zmiana przyszła znacznie później i była istotna. Mianowicie w ramach wzmacniania siły uderzeniowej wojsk operacyjnych, nasz pułk wyszedł ze struktury III. Korpusu Wojsk Obrony Powietrznej Kraju we Wrocławiu, aby wejść w skład 2. Dywizji Lotnictwa Myśliwsko-Szturmowego w Pile, mającej za zadanie wsparcie wojsk lądowych w ich działaniach. Stało się to w dwóch etapach, w wyniku których pożegnałem się z 45. pułkiem po siedmiu latach służby bez jednego miesiąca i kilku dni. W pierwszym etapie „sprzedaliśmy” nasze samoloty do pozostałych trzech pułków lotniczych III. Korpusu czyli do Mierzęcic, Wrocławia i Poznania oraz przyjęliśmy samoloty rozwiązanego 51. pułku lotnictwa myśliwsko-szturmowego z Piły. Byłem w ekipie przejmującej te samoloty w dniach od 01. do 23.XII.1969 i historia ta wymagałaby całkiem osobnego opisu.

Drugim etapem zmiany było regulaminowe, formalne przejście babimojskiego pułku do wojsk operacyjnych, w którym to etapie ówczesny dowódca III Korpusu Wojsk Obrony Powietrznej Kraju, pułkownik Michałowski zdał dowodzenie tą jednostką jeszcze frontowemu oficerowi, generałowi Łagodzie, dowódcy 2. Dywizji Lotnictwa Myśliwsko – Szturmowego. W czasie tego przekazywania odbyło się tak zwane „wysłuchanie inspektorskie”, gdzie żołnierze przekazywanej jednostki mogli zgłosić swoje skargi, postulaty i życzenia oraz zwyczajnie podnosić na swoich przełożonych. Kolejka do wysłuchania była bardzo duża, wielu ludzi miało dużo żalów i pretensji do swoich przełożonych, w znacznej części na pewno słusznych. Wysłuchiwał Główny Inżynier Wojsk Lotniczych, czyli mój nowy najwyższy przełożony w służbie inżynieryjno-lotniczej. Ponieważ byłem wciąż niepokodzony z moją stratą etatu kierownika GOTO, poszedłem i ja się poskarżyć. Ale w przeciwieństwie do prawie wszystkich, nie postawiłem żadnych zarzutów swoim przełożonym a tylko zapytałem tego Głównego Inżyniera, czy to jest w porządku, żeby mnie, dwukrotnemu mistrzowi techniki lotniczej najpierw nie pozwolić pójść na studia w WAT a potem mnie tak „sponiewierać”, przeniesieniem na niższy etat po przyjściu do pułku młodego oficera, który zajął moje miejsce, choć był bez żadnego doświadczenia i wiedzy. Efekt tego „wysłuchania” był nieoczekiwany. W ciągu dwóch tygodni, w styczniu, ze sztabu pilskiej dywizji przyszedł rozkaz personalny, przenoszący mnie do sztabu tej dywizji, do tamtejszego Wydziału Inżynieryjno-Lotniczego. Było to absolutne zaskoczenie dla wszystkich, dla mnie także. Już w lutym meldowałem się w Pile, którą zdążyłem trochę poznać w czasie, kiedy w grudniu przejmowaliśmy samoloty 51. pułku. Rozpoczęła się zupełnie inna jakość mojego i naszego życia jako rodziny, w dużym stopniu znowu zupełnie nieoczekiwana.

Kiedyś, po wielu latach, byłem w Babimoście, z wizytą u druha jeszcze z podchorążówki, Jaśka „Pszczóły” Sz. Jest on dla mnie takim samym, serdecznym kolegą jak Erwin B., mój towarzysz doli i niedoli z powojennego dzieciństwa. Spotkaliśmy się na podchorążówce w Oleśnicy w roku 1960, dokąd trafił ze studiów, które się Jemu nie udały. Do dziś nie znam szczegółów tej sprawy, nie pytałem, bo i po co. Przyszedł do pierwszego plutonu, jakoś pod koniec pierwszego miesiąca naszej służby. Wyróżniał się wewnętrznym spokojem, jakąś większą powolnością ruchów i niezależnością myśli. Nie byliśmy tam bardzo bliskimi kolegami, mnie wynosiło z koszar w całym innym miejscu niż jego. Mimo tego skolegowaliśmy się dobrze. Do babimojskiego pułku przyszedł też trzy lub cztery lata później niż my, po prostu przeniósł się bliżej rodziny, bliżej leśniczówki, w której się wychował i nauczył polować. Krótco potem ja zostałem przeniesiony do Piły, on tam w Babimoście wybudował piękny dom, gdzie mieszkali sami z żoną, niezwykle sympatyczną osobą, bo „młodzież” poszła w Polskę. Było to już ładnych kilka lat po rozwiązaniu pułku i likwidacji jednostki wojskowej w Babimoście. Jasiak polował jako zapalony myśliwy, ale przy tym bardzo trudno znosił nowe czasy i obyczaje, inne niż te wcześniejsze. Niektórzy ludzie nie wiedzieli co

robić na tej bezrobotnej prowincji i dostawali źle do głowy. Niektórzy z nich byli moimi dobrymi kolegami; nie do wiary, co to się z ludźmi porobiło!

Między innymi tam została zniszczona część wcale nie tak bardzo starego cmentarza ewangelickiego, chyba dlatego, bo poniemiecki. Z tym cmentarzem, na którym pochówki były dokonywane jeszcze po wojnie, dla mnie niepojęte było to, że tam w Babimoście żyli wtedy jeszcze bezpośredni potomkowie tych, których groby zostały zniszczone. Chyba do dziś się boją odezwać w swojej sprawie. Pytałem, zarówno tych moich dawnych towarzyszy broni, jak i tych miejscowych, których przecież znałem, czy stracili pamięć? Zazwyczaj odpowiedzią było wtedy pytanie: „Stary, a o co tobie, właściwie chodzi?” Podobnie, jeszcze przed naszym przyjściem do pułku, całkowicie zniszczony został kirkut, który przetrwał II. wojnę światową. A podobno Żydzi rządzą Polską???

Kilku moich kolegów, zbyt wielu, przeniosło się na babimojski cmentarz leżący przy drodze z osiedla wojskowego do koszar, niektórzy młodszy ode mnie. Wśród tych, którzy tak wcześniej odeszli, pierwszym był kontrabasista – amator, Wiesiek - Wawrzon Toporek, który chyba jeszcze w latach osiemdziesiątych przecenił możliwości swojej wątroby. Był wtedy oficerem w służbie mps, czyli materiałów pędnych i smarów, gdzie miał nieograniczony dostęp do spirytusu. Przy okazji tego spotkania wspominaliśmy dawny czas, wróciły więc niektóre zdarzenia z przeszłości.

Zawsze miałem duże trudności z dopasowaniem gotowego munduru, byłem zbyt szczupły przy moim wzroście. Mundury na podchorążówce musiałem dopasowywać u krawca, aby nie były zbyt luźne. Dlatego też już pierwszy mundur oficerski szyłem u krawca, oczywiście wojskowego, jeszcze w Oleśnicy. Po dwóch latach, już w Babimoście, zrobiłem to samo, u tamtejszego krawca. Wtedy wchodziły w modę spodnie z rozszerzonymi u dołu nogawkami, co mi się bardzo podobało. Postanowiłem więc zafundować sobie taki mundur, w którym spodnie będą miały takie nieco „rozkloszowane” nogawki. Mundur został uszyty bardzo dobrze u babimojskiego krawca, który nazywał się, jak pamiętam, Piersch i u którego potem szyłem sobie również ubrania. Leżał doskonale i wyraźnie odróżniał się od mundurów moich kolegów. Nie byłoby w tym wszystkim chyba nic szczególnego, gdyby nie to, że w tamtym czasie towarzysz minister obrony narodowej postawił na wysoką dyscyplinę, zawierającą się głównie w dbałości o pozory. Nie tylko żołnierz służby zasadniczej ale również oficer miał być przede wszystkim wysoko podstrzyżony, najlepiej żeby nie miał wąsów, o brodzie absolutnie nie wspominając. Ten „wybryk” był dopuszczalny tylko w Marynarce Wojennej i też nie dla wszystkich. Mój mundur był więc nieregulaminowym wybrykiem, ale tam, w leśnym garnizonie uszło mi to na sucho. Z czasem takie spodnie wyszły z mody, a że nigdy nie zrobiłem sobie zdjęcia w mundurze, nie mam żadnej pamiątki po tamtej modzie i tamtym czasie, czego teraz żałuję.

W latach sześćdziesiątych nie tak rzadko trafiali do naszej eskadry mechanicy - rezerwiści na kilkutygodniowe przeszkolenia. Szczególnie pamiętam dwóch, którzy byli u mnie w kluczu osprzętu, kiedy jeszcze byłem w eskadrze. Pierwszy był tylko kilka lat starszy ode mnie, ale miał bogaty życiorys. Był synem leśniczego z polskiej części Białorusi, czy jak się wtedy mówiło - z Litwy. Jeszcze przed wojny pamiętał dom nad jeziorem i ojca w mundurze leśnika. Jako dziecko przeżył wkroczenie Armii Czerwonej we wrześniu 1939 roku i aresztowanie ojca, którego już potem nigdy nie zobaczył. Z matką został wywieziony nad Bajkał, gdzie mieszkali w wielorodzinnym, drewnianym baraku. Matka musiała na kobyłę jeździć codziennie kilka wiorst do pracy a on przebywał w „dzietskim sadu”, czyli rodzaju przedszkola. Tak na marginesie - wiemy chyba prawie wszyscy, że „dzietskij sad” jest czystym germanizmem, żywym przekładem słowa „Kindergarten”, oznaczającego przedszkole, co Ruskim nigdy nie przeszkadzało. Kiedy podrosł i zaczął chodzić do szkoły, został wyróżniony tym, że najpierw został pionierem a potem komsomolcem. Po osiągnięciu wieku poborowego został wcielony do wojska, do marynarki (Czernomorskiej Floty), gdzie służył się wtedy (lata pięćdziesiąte) pięć lat. Matka jego cały czas starała się, jako Polka, o repatriację, czyli o powrót do Polski. Skutkiem jej starań wrócili do kraju w ostatniej dużej fali repatriacyjnej, w drugiej połowie lat pięćdziesiątych. On przyjechał po wcześniejszym zwolnieniu z wojska, gdzie w trzecim roku służby dorobił się stopnia wojskowego mata (mładszy sierżant). Pokazywał mi swoje zdjęcie w marynarskim mundurze, z wymienionym stopniem i w czapce z otokiem „czernomorskiej floty”.

Z jego opowiadań dziwne, a właściwie przerażające było kilka rzeczy. Pamiętał przedwojenny dom i jak na tamte czasy wysoki standard życia rodziny urzędnika państwowego. Mimo to jednak tam, na Syberii uwierzył, że „imperialiści tylko czyhają na to, aby ludziom radzieckim odebrać zdobycze socjalizmu, które sobie wypracowali.” Wierzył w to tak mocno, że matka wprost bała się jemu przypominać czas przedwojenny, który on sam także przecież pamiętał. On zaś uwierzył w to, że ten barak, który był wielorodzinnym „domem” i stojąca obok wspólna łaźnia, czyli „bania”, są szczytem dobrobytu i przedmiotem zazdrości dla wrogów ludzi radzieckich. Ten człowiek nie wybrał zawodu wojskowego, jednak prawie wszyscy moi znajomi, którzy wrócili z wschodniej granicy zostali zawodowymi oficerami.

Drugi z rezerwistów, o kilka lat starszy, był bardzo mało rzucającym się w oczy człowiekiem, chociaż był prawie mojego wzrostu. Służył jako mechanik lotniczy jeszcze na Il – 10, czyli zupełnie nie nadawał się do obsługi samolotu odrzutowego. Wykonywał więc, bardzo sumiennie prace pomocnicze, w czym był bardzo przydatny. Kiedyś jednak pracując przy konserwacji akumulatorowych wózków rozruchowych, zbyt mocno poskręcał łożyska kół, że prawie nie można było tych wózków przepychać od jednego samolotu do drugiego. Tak mnie to rozzłościło, że „wydarłem się” na niego, krzycząc, że to jest sabotaż. Zobaczyłem wtedy niesamowity strach w jego oczach, przerażenie i chęć ucieczki. To był dla mnie taki szok, że przeprosiłem go za to moje zachowanie a samo wydarzenie zapamiętałem na bardzo długo. On sam potem opowiedział mi jak w czasie jego służby, w latach pięćdziesiątych straszono ich oskarżeniami o sabotaż i w ten sposób motywowano do lepszego wykonywania obowiązków. Dla nas był to czas zaprzeszyły, myślę, że prawie każdy z nas w eskadrze chciał widzieć lotnika wysiadającego z kabiny po wykonaniu zadania nawet, jeżeli nie był to jego bliski kolega. Do nas, na stoiska samolotów, ani do samych samolotów, już oficerowie kontrwywiadu nie zaglądali a w stosunkach między pilotami i personelem technicznym dominowało zwyczajne zaufanie.

Jedno jeszcze wspomnienie wraca do mnie dość często: Nasze relacje międzyludzkie pomiędzy kadrą zawodową dywizjonu technicznego układały się dobrze, a nawet bardzo dobrze. Po prostu każdy z nas wiedział co robi, za co odpowiada i czego możemy od siebie wzajemnie wymagać. Tak samo każdy wiedział, na co też możemy wzajemnie liczyć. Zdarzały się wprawdzie różne nieporozumienia a nawet świństwa, jak to opisane wcześniej, ale to były wyjątki w życiu dywizjonu. Oprócz tej „wspólnoty”, jednak prawie każdy z nas miał swój najbliższy krąg znajomych i przyjaciół, oparty na różnych wspólnych zainteresowaniach. Ponieważ Bożena grała dość dobrze w brydża, zakolegowaliśmy się blisko z Wieśkiem S., dowódcą klucza eksploatacji silnika i płatowca w pierwszej eskadrze, którego żona, Róża też grała zupełnie nieźle. Trwało to kilka lat i dopiero kiedy Róża urodziła ich syna Maćka, przestaliśmy grać, tym bardziej, że niewiele później i nam urodził się Piotrek. Kiedy przeszedłem do Piły, kontakty się skończyły w sposób naturalny. Po kilku latach, kiedy z jakiegoś służbowego powodu byłem w Babimoście, Wiesiek i Róża mieszkali w Sulechowie, gdzie Róża była szefową szpitalnego laboratorium medycznego. Wiesiek także zmienił swój status, bo po dorobieniu studiów został „fizrukiem” czyli instruktorem wychowania fizycznego w sztabie pułku, co unormowało jego czas służby i pracy na tyle, że mógł dojeżdżać do Babimostu z Sulechowa a Róża pracując na miejscu, nie musiała już dojeżdżać z Babimostu. Zaprosił mnie wtedy do odwiedzin i w ten sposób zobaczyłem, że mają jeszcze jednego syna. Szczegółność tej pary polegała na tym, że Róża była córką Niemców z Kujaw, którzy po wojnie znaleźli się całkiem na południu Niemiec, przy granicy francusko-szwajcarsko-niemieckiej. To jej niemieckie pochodzenie, a jeszcze bardziej fakt, że rodzice Róży mieszkali w RFN, w tamtym czasie uniemożliwiało Wieškowi jakiegokolwiek awanse i szanse większego rozwoju. W efekcie, po różnych „przebojach” oni też wyjechali, w roku 1989, do Niemiec i tam już dorastali ich synowie, z których jeden mieszka „na miejscu” a drugi w Szwajcarii, ale całkiem po sąsiedzku. Utrzymywaliśmy kontakt i stąd wiem, że Wiesiek dopracował się tam „niemieckiej” emerytury, znacznie wyższej niż jego emerytura wojskowa polskiego oficera z pełną wysługą lat, mimo tego, że tam był tylko ratownikiem na miejskiej pływalni.

Niestety Wieškowi już tam, gdy był na emeryturze, zdarzyło się przeżyć częściowy paraliż po wylewie krwi do mózgu, który po dość długiej rekonwalescencji prawie całkiem ustąpił. Wtedy też oni oboje z Różą zrobili sobie podróż do Polski, podczas której widzieliśmy się ostatni raz. Po-



darowałem Im album z widokami Poznania, jakby na pożegnanie, bo niedługo potem dowiedziałem się, że Wiesiek już nie żyje. Na pogrzeb pojechał stąd nasz wspólny znajomy z Babimostu, Genek S. ze swoją żoną, z którymi Wiesiek i Róża utrzymywali stały kontakt i odwiedzali się wzajemnie. Tenże Genek poinformował mnie o tym smutnym zdarzeniu i swojej obecności na pogrzebie Wieśka. Niesamowitą rzeczą była dla mnie jego odpowiedź na moje pytanie, jak to tam teraz po śmierci Wieśka wygląda, co i jak się zmieniło. Odpowiedź ta brzmiała: "Tam wszystko jest tak samo, jak wtedy, gdy Wiesiek żył, tylko że Jego już tam nie ma". To proste zdanie, „łopatologiczne” opisanie tej nowej rzeczywistości, w pierwszej chwili mnie wprost poraziło. Po dość długim dopiero czasie zacząłem przyswajać sobie tę prawdę i teraz już nie jest to dla mnie ani porażające ani smutne czy tragiczne. Powiem nawet, że „tym optymistycznym akcentem” mogę zakończyć moje, jak najbardziej osobiste, babimojskie wspomnienia.